

## O przykrych skutkach straty przyjaciela [FELIETON]

Miejscem wielkiego eksperymentu politycznego staje się Szkocja, która z jednej strony – od czasu sławnych brytyjskich „ustaw dewolucyjnych” 1998 roku ma autonomię w dziedzinie stanowienia prawa, z drugiej zaś – jest rzadkim (jeśli nie jedynym) w Europie krajem o trwałej i przygniatającej politycznej dominacji lewicy – pisze Jan Rokita w nowym felietonie z cyklu „Z podbieszczadzkiej wsi”.

Oto pada w naszej Europie jakaś – wydawałoby się – niemożliwa do obalenia granica. Granica dobrze osadzona nie tylko w zachodniej kulturze politycznej, ale i w naszym koncepcie praworządności. Owszem, w XX-wiecznej historii, jak i czasem w rodzinnej tradycji, pamiętane są drastyczne przypadki przekraczania owej granicy, ale wiążą się one wyłącznie z dziejami nazistowskich Niemiec i komunistycznych Sowietów. Tak został na przykład zamordowany wybitny niemiecki pianista Karlrobert Kreiten, o którego nieprawomyślnych uwagach wygłoszonych w domu podczas lekcji fortepianu, doniosła na Gestapo przyjaciółka rodziny, którą pianista uczył muzyki. Z kolei w rodzinnych dziejach mojej żony jest postać dziadka, który w czasach NEP-u został kierownikiem kołchozu, jakim stała się w Sowietach jego własna farma. Ale jakiś czas później przy rodzinnej uroczystości rzekł pod rauszem, iż to jemu, a nie Stalinowi, kołchoz zawdzięcza swój sukces, więc następnego dnia zniknął bez śladu raz na zawsze. Nie, nie zamierzam tu czynić rozhisteryzowanych porównań naszej europejskiej współczesności do czasu apogeum

dwóch totalitaryzmów. Idzie mi tylko o to, iż jeśli w nowoczesnych dziejach Europy szukam przypadków gwałtu państwa wobec wolności słowa wypowiedanego prywatnie, we własnym domu, to mogę je znaleźć wyłącznie w opowieściach o tamtych zbrodniczych reżimach. Autokracje i dyktatury zawsze karały, karzą i będą karać za wolność słowa manifestowaną w sferze publicznej. Ale nie zwykły one jednak wydawać praw, nakazujących pod groźbą represji karnych co wolno, a czego nie wolno powiedzieć we własnym domu.

*Szkocka ustawa nie byłaby  
warta uwagi, gdyby nie  
zawarta w niej drobna, acz  
rewolucyjna nowość, gdy idzie  
o przesłanki nowego  
przestępstwa*

Miejszem wielkiego eksperymentu politycznego staje się Szkocja, która z jednej strony – od czasu sławnych brytyjskich „ustaw dewolucyjnych” 1998 roku ma autonomię

w dziedzinie stanowienia prawa, z drugiej zaś – jest rzadkim (jeśli nie jedynym) w Europie krajem o trwałej i przygniatającej politycznej dominacji lewicy. Jak można się dowiedzieć z oficjalnego rządowego portalu <gov.scot>, dnia 11 marca Holyrood (szkocki sejm) po serii ostrych sporów uchwalił nowe prawo przeciw „wzniecaniu nienawiści”, rozszerzając dotychczasowe kryterium rasowe o „wiek, kalectwo, religię, orientację seksualną, tożsamość transpłciową i różnice w cechach płciowych”. W dzisiejszych czasach pomysły na coraz mocniejszą ochronę, a nawet uprzywilejowanie obyczajowego libertynizmu, przestały już budzić nasze zdziwienie. Szkocka ustawa nie byłaby zatem warta uwagi, gdyby nie zawarta w niej drobna, acz rewolucyjna nowość, gdy idzie o przesłanki nowego przestępstwa. Otóż przestępcze „wzniecanie nienawiści” może przybrać postać

wypowiedzianych słów lub zachowania pozawerbalnego, ale co najważniejsze – może mieć miejsce zarówno publicznie, jak i prywatnie, również we własnym albo cudzym mieszkaniu. Licznym krytykom takiego rozwiązania prawnego ostro przeciwstawił się szkocki minister sprawiedliwości Humza Yousaf (nota bene – syn imigrantów i muzułmanin), odrzucając poprawkę jednego z torysów, który próbował ratować prywatne mieszkanie, jako strefę wolności słowa. „Taka obrona mieszkania – mówił Yousaf – stworzyłaby całkowicie sztuczne rozróżnienie, zezwalające na groźną i obraźliwą bigoterię tylko dlatego, że ma ona miejsce w domu”.

Przeciw ustawie wystąpili szkoccy torysi, Kościół Katolicki i Narodowe Stowarzyszenie Ateistów, wszyscy wskazując na groźbę likwidacji wolności słowa. Krytyczna jest też część szkockich mediów, tych mniejszościowych, czyli nie zdominowanych przez lewicę. Na łamach liberalnego (i tracącego ostatnio czytelników) dziennika „The Scotsman”, szef szkockiego oddziału światowej organizacji humanitarnej CARE – Stuart Weir snuje taką mniej więcej opowieść o życiu towarzyskim w Edynburgu już w najbliższej przyszłości. Założmy, że pomimo nowego prawa, przyjaciele nie będą się bać przyjąć twojego zaproszenia na kolację. Przy stole i alkoholu ktoś coś mówi, z czym się stanowczo nie zgadzasz, więc reagujesz własnym ostrym komentarzem. Jeden z gości obraża się na twój komentarz. Na chwilę robi się ciężka atmosfera, ale ty potrafisz rozładowywać takie sytuacje. Jednak niedługo potem rozlega się pukanie do drzwi. To policja. Jesteś podejrzany o popełnienie przestępstwa wzniesienia nienawiści. Weir tak kończy swoją opowieść: „Zdumiony i przerażony zostajesz zaprowadzony do biało-żółto-niebieskiego samochodu i zawieszony na komisariat, aby tam twój proces mógł zacząć iść swoim torem. Twój przyjaciel cię zdradził”.

*W zasadzie jedyny sukces szkockich obrońców wolności słowa, to zgoda lewicowej większości Holyrood na wyłączenie teatrów spod mocy ustawy*

Przy okazji nowego prawa wyszły na jaw także inne ciekawe dane, unaoczniające jak słabnie w naszym świecie ochrona wolności słowa. Przeciwnicy ustawy podnieśli bowiem

argument, iż dotychczasowa, łagodna wersja prawa o „wzniesaniu nienawiści” działa w Szkocji bezbłędnie, o czym świadczy najlepiej liczba aresztowań dokonanych na jego podstawie w latach 2019–20: aż 6448 (sic!). Ale w zasadzie jedyny sukces szkockich obrońców wolności słowa, to zgoda lewicowej większości Holyrood na wyłączenie teatrów spod mocy ustawy. Rządowa wersja projektu obejmowała bowiem sankcjami karnymi także reżyserów przedstawień oraz – co może najbardziej w tym absurdalne – nawet aktorów na scenie. Przyglądając się temu gwałtowi na liberalnym rozumie, czym jest w gruncie rzeczy szkocki przypadek, trudno uwolnić się od pytania, czy Edynburg to tylko swoiste polityczne kuriozum naszych czasów, jakiś wybryk fanatyków przeciw liberalno-demokratycznemu porządkowi naszej Europy? Czy też przeciwnie – Edynburg to awangarda postępu, znak całkiem nowego czasu, który właśnie nadchodzi? Sam staram się ciągle siebie łudzić, iż to tylko jeszcze jeden z coraz liczniejszych „wypadków przy pracy”, nie zagrażających istocie naszej liberalnej epoki. A, jeszcze na koniec wspomnę o jednym, w sumie oczywistym, szczególnie szkockiej ustawy. Przy okazji bowiem Holyrood zniósł anachroniczne we współczesnych realiach przestępstwo „błuznierstwa”. Teraz więc w Szkocji jedyną istotą, wobec której legalnie można „wzniecać nienawiść” pozostał Bóg.

*Jan Rokita*

Przeczytaj inne felietony Jana Rokity z cyklu „Z podbieszczadzkiej wsi”



Sfinansowano przez Narodowy Instytut  
Wolności - Centrum Rozwoju  
Społeczeństwa Obywatelskiego  
ze środków Programu Rozwoju  
Organizacji Obywatelskich  
na lata 2018 – 2030

